

J. H. Rosny.

# Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

Zaprowadził gości do długiej bawialni, wyklejonej czerwonym papierem. Służąca, wiejska dziewczyna o dziwnie szlachetnych rysach, o ustach markizy a rękach olbrzymki, przynosiła chleb świeży, świeże masło, mleko, śmietankę, kawę i ciastka.

Jakób Berleuse pokazał listy, które otrzymał od synów. Były one jałowe i monotonne. Te same zdania i słowa powtarzały się kilkakrotnie. Niekiedy jednak błyskał jakiś obraz straszny i bolesny, krwią ociekający, wstrząsający cierpieniem.

— Nie skarzę się — rzekł stary — musi tak być... nie można inaczej, pani hrabino...

Potem cicho a żarliwie zaczął mówić o gospodarstwie.

— Ziemia rodzi i nie rodzi, jakby potrzeba... Brakuje rąk, pani hrabino, a moje zaczynają rdzewieć... Dyabli wiedzą skąd wlażył jakiś „romatyzm” i lupie po kościach... Są straty... Trochę zboża zgniło... I w stajniach braki... Bydło marnuje się...

Pani de Givreuse rozumiała dobrze cel tych skarg. Słuchała spokojnie, zdecydowana dorzucić coś do wydatków gospodarskich, ale przekonana także o tem, że w narzekaniach starego pocziwca było sporo przesady.

— Obejrzymy to wszystko, panie Berleuse! — rzekła — Czasy są ciężkie... trzeba pieniędzy dla wdów...

— Dla wdów... tak... to się wie, pani hrabino... ale ziemia... ona przecież wszystkich żywi. Westchnął i dodał:

— Niestety... a ojcowie rodzin, którzy mają po dwóch synów na wojnie... A zresztą pani hrabino zobaczy sama i osądzi sprawiedliwie... Podwieczorek zjedzono już. Pani Givreuse powiedziała:

— Chodźmy zobaczyć stajnię, panie Berleuse. Polknęła ostatni kawałek ciasta i podniosła się z krzesła. Młodzi ludzie nie poszli za jej przykładem, wiedząc, że chodzi tutaj o pieniądze.

Ale matka skinęła na Piotra.

— Chodź! — rzekła.

Zależało jej na tem, aby przyszły dziedzic interesował się swą ojcowizną.

Piotr poszedł za panią Givreuse.

Filip i Walentyna pozostali sami. Rzadko się im to zdarzało i tylko na bardzo krótką chwilę. Tym razem los zastawił pułapkę. Filip nie miał żadnego pretekstu, aby się usunąć.

Z początku milczeli oboje. Nerwowo lęk Walentyny udzielił się młodzieńcowi. Nie śmiał patrzeć na nią wprost. Kąkami oczu widział piękną bladą twarz i bujne z pod kapelusza wymykające się włosy.

Przypominał mu się podobny zupełnie dzień. Na rok przed wojną znajdował się z matką i z Walentyną w tym samym pokoju.

Być może, że istniała już wówczas między nimi miłość, ale dopiero bezwiedna, nieświadoma.

Walentyna stała przy oknie. Powiewał lekki wietrzyk i poruszał wielkie czarne pióro na kapeluszu dziewczyny. Policzki jej miały połysk pereł. Przybliżył się. Zamienili ze sobą kilka zdań napozór blahych, pozostających jednak w ścisłym związku z najgłębszą ewolucją duchową.

Serce zabiło Filipowi silniej, rozkołysane tem wspomnieniem.

Zapach irysy i ambry, jaki wydzielaty suknie Walentyny, wydał mu się niby pył kwiatowy jakichś dalekich kwiatów.

Krajobraz, który rozciągał się przed nimi, oddychał przedziwną świeżością.

Łąki podobne do łąk Irlandyi, czysty strumień z przerzuconym przezeń małym staroświeckim mostkiem. Rząd topoli czarnych, tych drzew gotyckich, które wznoszą ku niebu wysmukłe łuki, lśniące srebrem.

Było to jakby wezwanie do cichych radości spokojnego, skromnego życia.

— A jednak ta ziemia tutaj, to ziemia tra-

giczna! — szepnął młodzieniec — Ziemia spustoszeń i cierpień!... Jak wszędzie, kędy przeszli Wikingowie!

Walentyna podniosła głowę. Spojrzenia ich spotkały się i zaraz rozbiegły.

— A przecież tutaj wszystko dyszy spokojem — mówił dalej — i zaprasza do życia — ciągnął dalej.

— Sądzi pan? W jesieni i w zimie jest tutaj daleko smutniej, niż wśród skał nad morzem. Nie lubię łąk... wolę lasy.

Drgnął. Powtarzała prawie słowo w słowo to, co mówiła wtedy.

Filip podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

Jakieś skromne ptaszę śpiewało wśród gałęzi.

Młodzieniec rozmarzył się. Śpiew ptaka budził w jego sercu echa wspomnień dawnych i pragnień.

Sam nie wiedział, jak i kedy wybiegła mu na usta strofka wiersza:

„Płaszę śpiew zawodzi  
Cudny śpiew,  
Cicho marzą młodzi  
W cieniu drzew”.

Odwrócił nagle głowę, bo posłyszał za sobą coś jakby jęk. Panna de Varsennes stała wyprężona, blada, z rozszerzonymi źrenicami i napółotwartymi ustami. Ręce jej dygotały.

Zrozumiał. To był ten sam wiersz, który deklamował wówczas Walentynie przy tem samym oknie, wówczas kiedy był jeszcze Piotrem de Givreuse.

Postąpił krok. Walentyna zachwiała się jak gdyby miała zemleć. Potem nastąpiła reakcja. Policzki dziewczyny zaróżowiły się. Sza! ja jakiś ogarnął. Ochrypliłym głosem krzyknęła:

— Kim pan jesteście? Skąd przybywasz?

Tak cicho, że dosłyszeć nie mogła, szepnął:

— Niestety!... Kimże ja jestem?...

Walentyna nalegała dalej gorącczko:

— Dlaczego wypowiedział pan tę strofkę i dlaczego właśnie tutaj?

Przez chwilę nie odpowiadał. Zbierał siły.

— Skądże wiedzieć mogę? — rzekł wreszcie, usiłując się uśmiechnąć. — Ten wierszyk przypomniał mi się poprosu. Cóż w tem nadzwyczajnego?

Poruszyła wargami, ale nic nie odpowiedziała.

W duszy jej kottowały nieokreślone podejrzenia, sprzeczności najjaskrawsze, poczucie czegoś, co idzie z tamtego świata.

A potem dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy.

Filip targany miłością i współczuciem, udręczony bolesną tajemnicą swego istnienia, stał przybity. Wiedział, że nie zawinił w niczem, a jednak czuł się winnym.

Wieczorem, kiedy młodzieńcy znaleźli się sam na sam, Filip powiedział do Piotra:

— Niepodobna, abyśmy obaj dłużej razem mieszkali w Givreuse. Nasza podwójna obecność staje się czemś złem. Udręka, na jaką narażamy Walentynę, jest nie do zniesienia. Nie mamy prawa ciągnąć tego dalej. Dopiero dzisiaj to w całej pełni odczułem.

Opowiedział, co się stało w domu Jakóba Berleuse.

— Można było uniknąć tej niezręczności. Ale czy podobna wykluczyć możliwość podobnych wypadków?... Może kiedyś nawet coś poważniejszego. Przecież wszystkie nasze wspomnienia są wspólne. Pewnego pięknego dnia, ten który nie jest Piotrem, może wypaść z roli, zdradzić się fatalnie... A choćby nawet tak się nie przydarzyło, to Walentyna i takby cierpiała. Ona wie, że ja obaj kochamy.

Te słowa dźwięczały Piotrowi w uszach, jak echo jego własnych myśli. Zapytał tylko:

— Odjedziemy obaj?

To samo pytanie zadawał sobie Filip. Okropną była myśl o rozłącze. Rozumieli jednak, że logika przeznaczenia wymaga tego.

— Zgadzą się — rzekł Piotr — i będziemy się często widywać.

— Którzy z nas odjedzie?

— Własna nasza wola nie umiałaby rozstrzygnąć... Losujmy.

Los wyznaczył Filipa.

Przygnębieni bardzo młodzi ludzie spoglądali długo w ciemny, milczący ogród.

Dusze pełne mieli goręczy i buntu.

Obaj cierpieli, ale Filip dotkliwiej niż Piotr. Rozpoczął się dla niego straszne, tragiczne

wygnanie. Nie istniał dla ludzi, nie urodził się wcale.

Porzucił matkę, wyrzekł się jej na zawsze. Miłość ku Walentynie miała być odtąd tylko męczarnią.

Wszystkie myśli, które przesuwaly się Filipowi przez głowę, powtarzały się w mózgu Piotra.

Zapadła decyzja wydała mu się nagle nie- możliwą do wykonania.

— Nie odchodzi! — jęknął.

— Wiemy obaj, że tak być musi — odparł Filip. — Nie próbujmy sprzeciwiać się wyższemu prawu, które nas rozdzieliło i skazało na odrębną egzystencję. Przez wspólne dalsze życie wypaczymy przyszłość jeszcze straszniej i unieszczęśliwimy Walentynę.

— A jednak — rzekł Piotr — ten odjazd nie zadecyduje o niczem. Poczekam. Niechaj wszystko zostanie w zawieszeniu.

— Dobrze — odpowiedział melancholijnie Filip. — Wyjazd mój będzie próbą, być może szczęśliwą!

Umiłki! Nigdy jeszcze to podwójne życie nie wydało im się tak posępne.

Dłonie ich połączyły się, a przez uścisk ten odczuli znowu z całą mocą jedność swego istnienia.

— Czy to nie sen? — szepnął Filip.

— Albo może wyższa prawda — uzupełnił Piotr.

— — — — — Nie spali tej nocy wcale. Zaraz rano powitał ich gość, hrabia Augustyn de Rouge-terre.

Lekki dreszcz przebiegł starca. Nie mógł przyzwyczaić się do ich podwójnej obecności.

— Przybyłem — rzekł — aby pomówić o interesach. Mamy zamiar rozszerzyć nasze przedsiębiorstwo.

Miał na myśli fabrykę samolotów, w której prowadzony patriotyzmem, uwieził z raczną część swego majątku. Pani de Givreuse i Piotr byli współnikami przedsiębiorstwa.

— Powiększamy kapitał zakładowy. Chciałbym wiedzieć, jakie jest wasze zdanie.

— Godzimy się zupełnie na to, co postanowisz, wuju.

— Pragnąłbym także, ponieważ macie potrzebne ku temu naukowe studia...

Urwał zmieszany, jak zawsze, kiedy trzeba było mówić o ich przeszłości.

— Chciałbym, aby przynajmniej jeden z was mógł dozorować robotę w fabryce.

— To ja — rzekł Filip. — Pojadę do Granville i zajmę się...

Hrabia rzucił mu spojrzenie podejrzliwe prawie i jakby przerażone.

— Rozłączylibyście się?

— Właśnie tak postanowiliśmy przed twem przybyciem, wuju.

Hrabia Augustyn zamyślił się.

— Nie śmiałem radzić — rzekł wreszcie — ale już mi to nieraz przychodziło do głowy.

Weszli do jadalni. Stół był nakryty. Brakowało tylko mleka i kawy.

Pani de Givreuse i Walentyny nie było jeszcze.

— Musicie — ciągnął dalej hrabia de Rouge-terre — uczyć się żyć każdy na swój rachunek.

Stary zegar wydzwonił ósmą godzinę. Pokójówka weszła do pokoju.

— Wiktoryno! — zawołał Piotr — czy pani jeszcze nie wstała?

— Owszem, wstała, ale...

Nie zdażyła dokończyć. Dąły się słyszeć szybkie kroki. Pani de Givreuse ukazała się w progu. Na twarzy jej znać było wielkie wzburzenie.

— Walentyna zniknęła! — wykrzyknęła.

— Niepodobna! — wyrwał się jednocześnie okrzyk z ust Filipa i Piotra. — Nie mogła zniknąć!...

Byli więcej zmieszani, niż zdziwieni.

— Rzeczywiście, że nie mogła zniknąć — przyznał hrabia Augustyn. — Pewnie wstała wcześniej i poszła na spacer. Coś ją widocznie zairzymało.

Pani de Givreuse potrzęsła przecząco głową.

— I ja tak sądziłam, Augustynie, ale ona nie kładła się wcale! Musiała wymknąć się w nocy lub o świcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).